

Nr 13

GAZETA GRODZKA

3 czerwca
2005



OKOLICZNOŚCIOWA GAZETA ŚRODOWISKA ARTYSTYCZNEGO MIASTA LUBLINA I KAZIMIERZA DOLNEGO Nakład: 300 + 4 set. Gazeta bezpłatna



Leszek Mądzik

AUTOPORTRET

motto:

*Niech nic cię nie smuci
Niech nic cię nie przeraża.
Wszystko mija...*

(Myśli św. Teresy zanotowane na zakładce,
znalezionej w jej brewiarzu)

Leszek Mądzik, najwybitniejszy po Tadeuszu Kantorze i Józefie Szajnie twórca teatru plastycznego w Polsce. Andrzej Wajda nazwał jego spektakle „teatrem chorym na śmierć”. Artysta z premedytacją używa teatru, scenografii, fotografii, by zaglądać za kulisy życia. Czy można zajrzeć za kulisy jego życia. Po to, by zajrzeć za kulisy teatru. Można. Oto okruchy wspomnień Leszka. Zapisane w wielu rozmowach. Posłuchajcie.

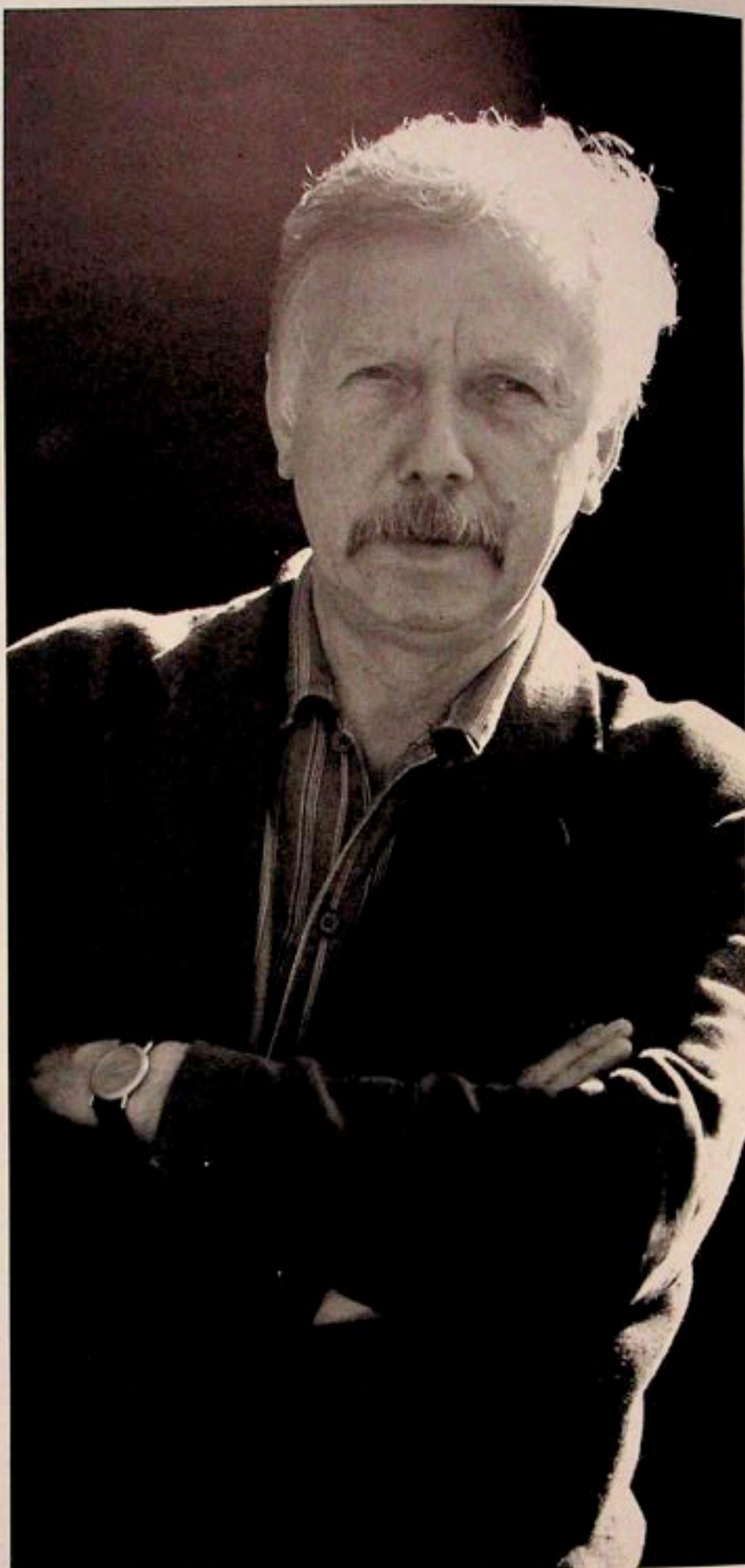




foto z archiwum Szerey Płanicznej KUL (Pawel Pierściński)

Pamiętam, jak dziadek Michał Cichocki opowiadał o pielgrzymie, co wędrował ziarnko po ziarnku w kierunku klasztoru, o mnichach pochowanych pod posadzką kościoła i o „placzącym” kamieniu, zawsze pełnym wilgoci. Dziadek mieszkał pod św. Krzyżem i co niedzielę trzeba było stromą górę pokonać, by znaleźć się na nabożeństwie w klasztorze i szukać cudowności.

Mój ojciec był pisarzem dworskim w Garbacz pod Ostrowem Świętokrzyskim. Służył w Armii Krajowej. Mama była sanitariuszką i pośród gór urodziła się ich znajomość. Z dworu, na koniu, przyjeżdżał do mamy na spotkania. Z tej siedziby pozostały resztki, jakiś komin, mur. Domu rodzinnego już nie ma. Nawet nie zostały ślady...

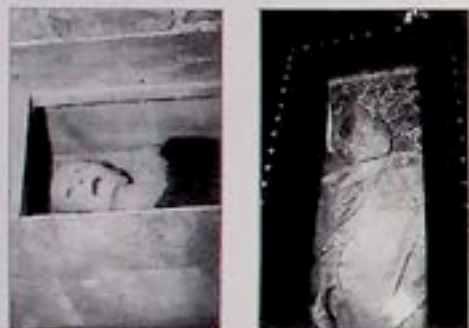
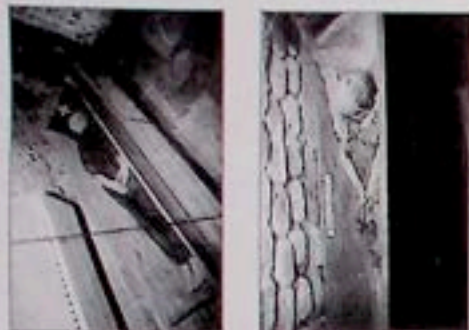


Gdy zabrano mi ojca

Ojca zabrano mi, kiedy byłem w pierwszej klasie szkoły podstawowej. Zabrano nam też mieszkanie w Kielcach. Co bym przywołał z tego czasu? Jeszcze zanim zapadł wyrok, ojca kilkakrotnie prowadzono z więzienia do sądu. Widok ostrzyżonego więźnia, konwojowanego przez milicjantów w ciągu dnia, środkiem ulicy, kiedy ludzie szli do pracy – był dla nas wielkim upokorzeniem. No i te widzenia w więzieniu. Zostały we mnie na zawsze. Judasz, matki i żony czekające, obraz jak z syberyjskiego pejzażu. Przepustka, rozmównica, krata i mrok. Twarzy nie widziałeś – tylko słowa. Stawialiśmy też na ulicy, by choć w oknie więziennym ojca zobaczyć.

Mama wczesnie wyszła za mąż. Kiedy trzymała mnie do chrztu, nie miała jeszcze osiemnastu lat. Całe życie ciężko pracowała. W najtrudniejszym okresie, kiedy ojca uwięziono, była wszystkim. Wcześniej też odeszła. Zmarła w wieku czterdziestu czterech lat.





Pejzaż świątynny

W czasach mego dzieciństwa puszcza wokół Świętego Krzyża przypominała dżunglę. Była strzelista, witalna i zdrowa. A kiedy kończyły się cieni i czerni i nieoczekiwanie pojawiała się jasność murów klasztornych, puszcza wstępowała w światłość i biel. Gdy po godzinnej wędrówce po ciemnej, wilgotnej, soczystej i pachnącej ściółce stawałem na skraju klasztoru, ludzie, którzy zdążyli ścieżką do świątyni, wyglądali jak mrówki. A kiedy sygnaturka wrywała ich na Anioł Pański, przerywała im pracę i zabawę, żnój i radość. Ludzie zastygali w zniechęceniu do modlitwy.

I trumienny

Zejście pod posadzkę kościoła, gdzie spoczywali mnisi, było moim kolejnym doświadczeniem z pejzażem śmierci. W tym pejzażu leżeli książę Wiśniowiecki, małe dziecko, nieznaną powstaniec, przy którym czytałem napis: „Kim ty jesteś, tym ja byłem. Kim ja jestem, Ty na pewno będziesz”. To były także pierwsze spotkania z architekturą trumny i ułożeniem się ludzkiego ciała na wieczne odpoczywanie. Ale może jeszcze bardziej przejmujący był los tych złożonych tu pod

posadzką – po której wędrowałeś do kościoła. Stąpałeś po zwłokach, a one „szepotały”: memento mori.

Okna mojego domu w Kielcach wychodziły na ulicę, przy której znajdowały się szpital i kostnica. Regularnie wychodziły stamtąd pogrzeby na cmentarz. Przez rytmiczność tej pogrzebnej cyrkulacji wytworzył się w moim oknie pejzaż karawanu. Właściwie był to zegar, przecież codziennie ktoś umierał. Niektóre pogrzeby szły jak procesje – z orderami na poduszkach, z marszem pogrzebowym wojskowej orkiestry. Mury naszego domu nasiąkały ich muzyką. Były też takie pogrzeby: że nikt nie szedł za trumną. Lub jedna osoba, dwie, trzy. Pamiętam śmierć dwojga dzieci. Zasypała je skarpa piachu. Jedno z nich jeszcze w ustach miało wisienkę.

Pejzaż konopny

Pejzaż konopny zdarzył się u babci. Tam po raz pierwszy odczułem zapach konopi moczonych w wodzie. Pomiędzy nimi się kapałem. Konopie, poukładane w rzędach, z wolną namakały i ten proces był bardzo biologiczny. Trudno mi zwerbalizować doświadczenia związane z wodą,



które były bardzo intensywne. Często patrzyłem na rzekę, wrzucałem do niej różne rzeczy, które płynęły, blokowały się, a ja je uwalniałem, żeby dalej mogły popłynąć. Zawsze miałem silną potrzebę zbudowania trasy. Czulem, że gdybym się na tym surrealistycznie widzianym przedmiocie płynął przez dziwne stawy i doły – to byłbym szczęśliwy. Po mozolnych próbach preparowania takiego pojazdu cud się dokonywał i na takiej płaszczyźnie podążałem przed siebie. Woda fascynowała mnie swoją wartkością, tasią, blikiem i gładkością. W wodzie była spontaniczna radość życia. Inaczej pracowała w dzień, a inaczej w nocy. Woda dzienna była witalna i radosna. Woda z nocy wyzwała we mnie refleksję tajemną i kosmiczną. Raz bywała błogostanem, raz zagrożeniem.

Teatr Wielkiej Nocy

Gdyby sięgnąć do kroniki seminaryjnej, to tam przetrwała pamięć o moich wielkanocnych grobach. Chciałem zburzyć prosty i banalny pejzaż odejścia Jezusa, przygotowany z przypadkowej figurki gipsowej, białych chryzantem i groty z papieru. W kościele zaintrygował mnie boczny korytarz prowadzący do seminarium, jakby wymarzony na scenografię teatralną. Jego przestrzeń adaptowałem na tunel śmierci i zmartwychwstania.

Przywołam tu dwa groby. W pierwszym nie dałem ciała ludzkiego. Nie chciałem fizycznie pokazywać zwłok. Szukałem ekwiwalentu w przeczuciu śmierci i zmartwychwstania. Zrobiłem baranka z rurki, w której ponacinałem otwory, podprowadziłem węgiel gaz. Tak zapłonął baranek w czerni tunelu. Cały czas żywy, choć już w dramacie śmierci. Nic więcej nie trzeba było. Nawet kwiatów.

Na drugi grób przygotowałem ekspresyjną pięć. Byłem pod presją florenckiej pracy Michala Anioła, na wół surowego dramatu śmierci w dwóch ciałach. Rzeźbiłem ją pod osłoną dachu na podwórku i zapomniałem, że może się nie zmieścić w wejściu do kościoła. Poobijała się i wypaczyła, wytrąciła się z kształtu twarzy. Tak odkształcona i bezbronna stanęła przed wiernymi w tunelu śmierci.

Potem było jeszcze kilka grobów. Ostatni w Kazimierzu. Białą figurę Chrystusa złożyłem w surowej ziemi. Bez kwiatów.

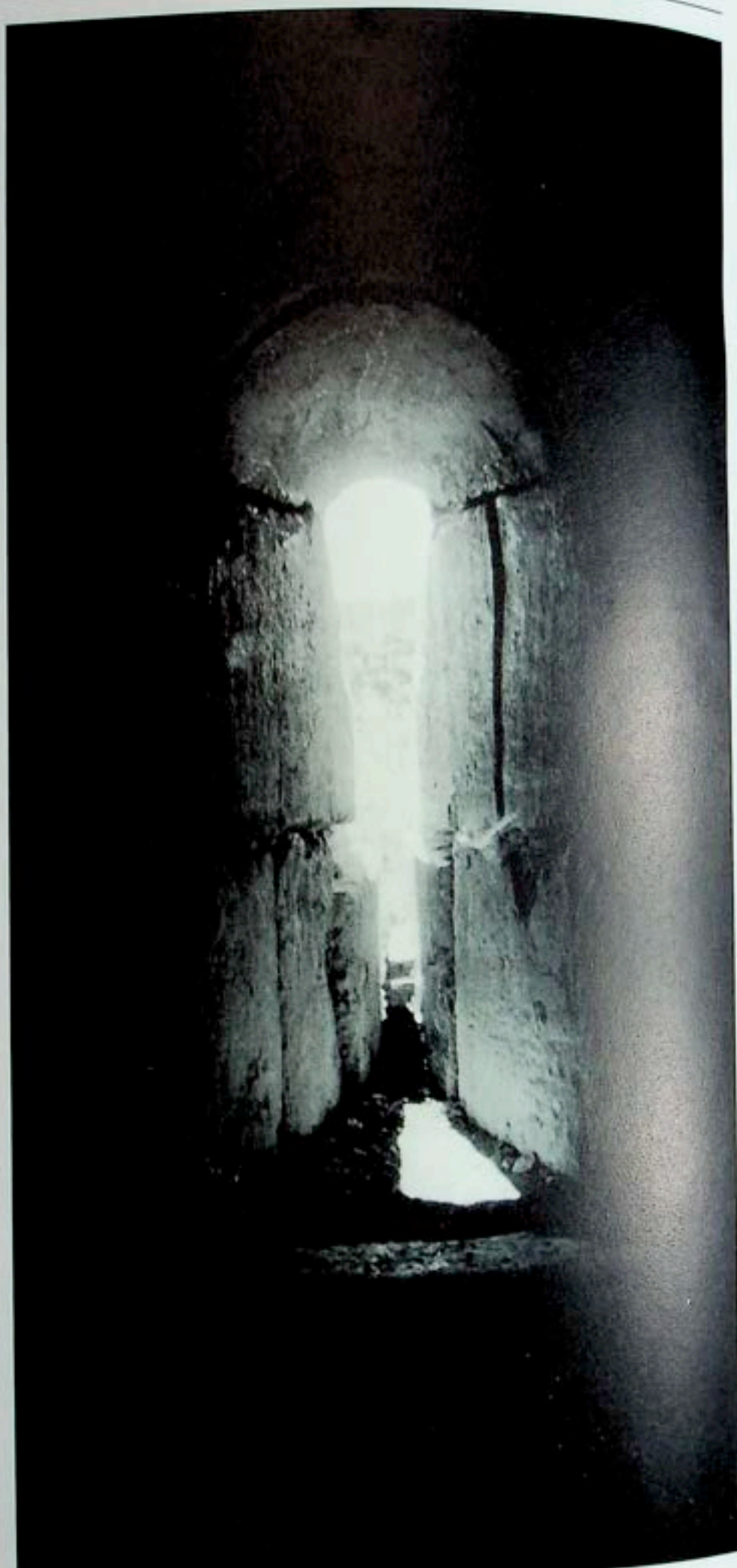
Wibracje

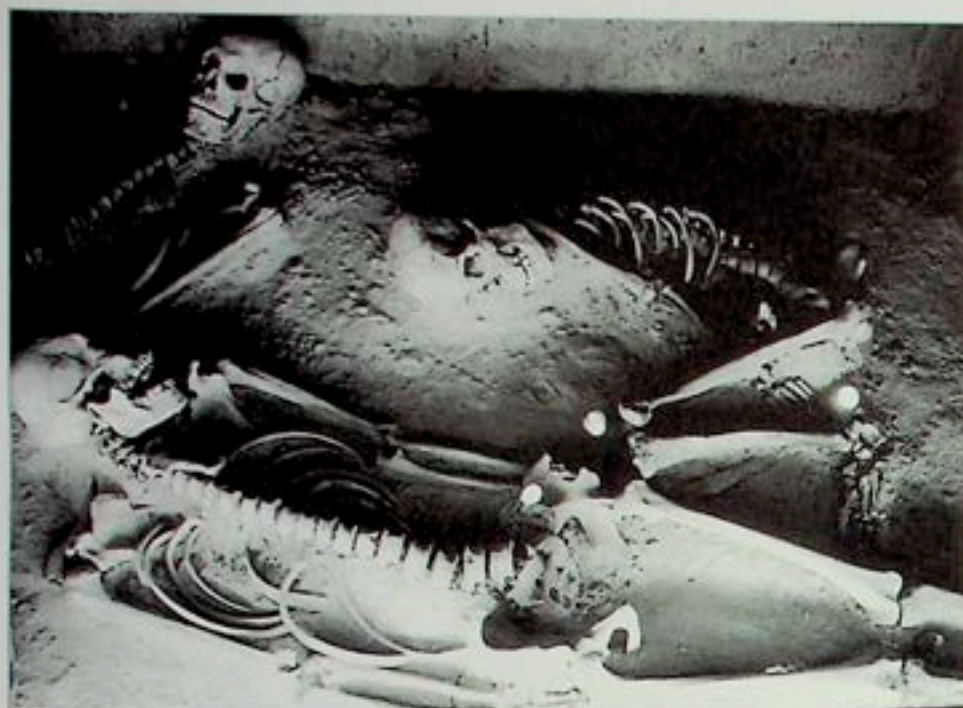
Z dzieciństwa wyraźnie pamiętam obraz wnętrza karawanu, który oglądałem z perspektywy szyn, po których wkładało się do środka trumnę. Myślę, że moja przestrzeń w teatrze to taki karawan, który zdąża na swoje miejsce. A ja w nim rozgrywam kolejne spektakle.

Pracę nad spektaklem zaczynam od skonstruowania w myślach i wyobraźni obrazów, które płyną we mnie bardziej intensywnie i są bardziej nasycone niż ma to później miejsce w rzeczywistości teatralnej.

Potrzebne są narzędzia, którymi się wywoła to, co zaistniało w wyobraźni. Komponenty światła, przestrzeni, faktury, rekwizytu, dynamiki, kinetyki. Tu jest największy opór materii i największe zmęczenie. Jeżeli odczuwam wielką radość w komponowaniu spektaklu, to muszę pokonać wiele trudności, żeby doczekać premiery.

Dlatego nie mam świadków na próbie. Próby są wielką niewiadomą. Męczącym pytaniem: czy uda się przenieść to, co wyobrażone i wyśnięte do teatru. Z trudu i obaw rodzą się doświadczenia,





które w ostateczności żywią spektakl. Ale parę batalii po drodze przegrywam. Bywam też na próbach zaskakiwany pozytywnie sytuacjami, których nawet nie planowałem. Prowadzę materię spektaklu, a ona mi robi niespodzianki. Odkrywam obrazy, którymi sam jestem olśniony. Umykają też takie, z którymi nie mogę sobie dać rady. Czuję, że jestem jeszcze wobec nich bezsilny. Ale one we mnie zostają. Czekają na kolejny spektakl. Jest potem cudowna ulga, kiedy przez „zmęczenie” spektakl się wypełni. Kiedy jest pierwszy widz i cząstka teatru przenika do jego życia.

Okruchy

Woda jest mi przychylna. Jak jest niepogoda, deszcz, wilgoć w powietrzu – to ja się dopiero budzę do życia. Z wody pobieram witalność. Czuję się częścią wilgotnej przyrody. Siąd tak wiele jej w spektaklach. To, że z czasem przerodzi się ona w proces gnilny – to i później będę musiał sobie z tym poradzić.

Istoty niby żywe a umarłe to ptaki. Chciałbym, żeby ptaki w moich spektaklach były żywe. W „Wędrownym” przez ruch próbowałem martwe ptaki ożywić. Choć wolałbym, żeby jak po cięciu wieźbił się w górę żywy organizm, poszedł lukiem w dół, ściał go i zniknął. Z tymi czterema żywymi w „Technieniu” mam kłopot, bo uciekają i wzbijają się pomiędzy dekoracje.

Była w moim teatrze ziemia. Kłosa i ziarna zbóż. Ścięte drzewo w „Kirze”. Był piach w spektaklu „Pętanie”. Były suche liście, pióra, pierze. I tak dalej, i tak dalej. Cała konstrukcja tego teatru bierze się ze świata i z jego ziemskich okrucich.

Miłość

Jest we mnie tęsknota za miłością. Za spotkaniem z kobietą. Dotykam w teatrze czystej miłości do kobiety, która daje poczucie bezpieczeństwa. W „Wieczery” czytałem kobietę przez wizję chusty Weroniki. Dotykałem sterylnej, czystej i nieskazitelnej miłości pozbawionej pożądania, które zdarzało się w innych spektaklach. Pierwiastek miłości nieskazitelnej pojawia się jeszcze w „Piętnie”.

Błogość, bezpieczeństwo i ciepło kobiecie symbolizowała postać Matki Boskiej w aureoli. I w „Wieczery”, i w „Piętnie” portretowałem kobietę przez wielki dla niej szacunek i zawierzenie.

Myslę, że w przywołanych spektaklach miłość pozbawiona została interesowności i biologii. Ale była zarazem bardzo kobieca, jakby łączyła urodę z misją i ze świętością. Takiej miłości potrzebowałem, żeby wyzwolić pragnienie domu i spokoju.

Miłość w „Zielniku” czytałem przez pryzmat ciała, które zachwyca, a już zaczyna być martwe. Taka miłość rodzi się ze świadomości skończoności ciała, które kokietuje, zdobywa i daje rozkosz, a już w młodości może nosić w sobie zarys kruchości, skończoności, martwoty i „zmarzszczeń”.

Z czasem miłość w moim teatrze stawała się coraz bardziej wyzwolona i biologiczna, cały czas wpisując się w surowy pejzaż przemijania. W kolejnych spektaklach miłość ustąpiła miejsca takim tematom jak czas i sacrum. Jakbym już gdzieś indziej szukał miłości.

Bo są dwie rzeczy, za którymi w tym teatrze się tęskni, pożąda i chciałoby się je mieć, ponieważ wyzwalają wiele podnieć i energii, są jego siłą napędową. To erotyka i sacrum.



Pietro

Grzeszność

Jest w naszej naturze coś, co wymyka się spod kontroli racjonalizmu i moralności. To sfera zauważeń i tęsknot, które człowiekowi z trudem przychodzi okiełznać. Grzeszność jest jak wabik, a życie na okrągło nie dzieje się światobliwie. Wiadomo, że „Zielnik” czy „Pętanie” były bardzo erogennymi spektaklami. Wydaje się, że wiem, na czym polega tajemnica kobiety, pokusa, jej kuszenie i wabienie, pogoni za nią. Cudowność tej tajemnicy tkwi w wielkim sprężeniu miłości z biologią.

Wabik erotyczny w tym teatrze wciąż się pojawia i nie wiem, czy trzeba go za wszelką cenę do końca rozszyfrowywać. Czasami myślę, że jeszcze dalej powinienem z tym pójść. Bo głębiej jest we mnie niż go obnażyłem. Cały czas penetruję w sobie erogencność, żeby była dla widza tak samo kusząca jak dla mnie. Ona jednak wciąż się zimną wodą „oblewa”, kiedy zderzam ją z refleksją nad czasem i sacrum.



Brzeg



Wędrowno

Rozpacz

Rozpacz brała się z uczucia lęku. Brała się także z bezradności graniczącej z absurdem. Rozpacz była bezradnością. Ale nigdy do końca. Znajdowałem dłoń łagodzącą albo wilgotną tkaninę, albo po prostu imaginację. Moja wyobraźnia była silniejsza od rzeczywistości. Nie ma żadnego spektaklu – może poza „Szczeliną” – który by wyraził rozpacz bezradności sięgającą aż po destrukcję. W takim krajobrazie zatrzymał się Anioł Śmierci. Przysiadł jak u Grottgera i spoglądał na pogorzeliśko. Czarny Anioł patrzył, zasmęcił się, zasmucił, zafrasował i zafrasobliwił nad tym leż padolem.

Światło

Fascynuje mnie granica widoczności. Ten teatr od pewnego czasu zaciemnia obraz. Ale tylko pozornie. Tworzę przestrzeń, która zaczyna się od zupełnej ciemności. Ciemność każe mi wszystko rodzić od zera. Jakbyśmy zamknęli powieki i ktoś chciał się pod nie dostać. Początkiem spektaklu jest zatem brak światła. Często światło poprzedza muzyka. To, co się przed widzem jawi, jest czarnym blejtrmem. Wybieram światłem fragmenty przestrzeni – i widz skupia się tylko na nich. Mam szansę kierowania wzrokiem człowieka. W pewnym momencie pozbawiam go tego, co już dostrzegł, i uruchamiam sytuację w innym miejscu. Zaciekawiony, zdąży za światłem, które buduje dramaturgię spektaklu.

Fascynuję się pewnymi możliwościami, zawiązaniami, granicą widoczności. Boję się obnażenia przedmiotu. Odpowiednio go oświetlając, ukazując jego fakturę, proporcje, odległość od widza – mam tę cudowność wchodzenia w tajemnicę tego, o czym przyszło nam mówić w spektaklu, czyli o nas samych.

W teatrze interesuje mnie czas od zmierzchu do świtu. Dzięki światłu mogę krawędziami dotykać sytuacji, wędrować w mroku. To jest rodzaj czyśca. Bo właściwie podróż w nocy jest próbą szukania świtu. Ale on nie zawsze przychodzi, nie zawsze mnie spotyka. Albo na niego za wcześnie, albo jeszcze nie pora.

Gdyby światło nie miało po drodze oparcia, to by go nie było. Istotne jest, co po drodze napotka. Często wędruje razem z przedmiotem. Ukrywam źródło świecenia, aby sam przedmiot świecił.

Bardzo interesuje mnie sprawa barwy światła. Ostatnio szukam możliwości niuansów bieli świetlnej która wchodzi w srebro. Poświaty dają mi skalę tonacji szarości. Bo cały czas chciałbym mówić w teatrze lapidarniej, bardziej ubogo, prościej. Dlatego też są biedne te moje światła – specjalnie konstruowane dróżki, rynienki, kanaliki. Czasami małeiki świetlik silniej krzyczy niż wielki reflektor. Chciałbym, żeby w przyszłości każdy spektakl miał swoje światła, żeby światło było organicznie zbudowane do danej sztuki.

Muzyka

Z muzyką to jest tak, że najbardziej chciałbym pokazać modlitwę w kościele – przez skrzypienie ławek, kiedy ludzie kłękają na podniesienie.

Czas

Jest we mnie świadomość czasu, którego coraz mniej. Żalu, że zostawisz tych, co są młodszy od ciebie, że ich opuścisz na stałe. Że kończy ci się czas zdobywania tajemnicy. Bo los już jutro może przerwać nam działanie. Czy tak ma być? Czy może jeszcze zdążyć dowiedzieć się czegoś takiego, co da mi spełnienie.



Cahan



Cahan

Zastanawiam się, na ile jest ten teatr odpowiedzią na to, co zostanie po mnie? Czym ma to być? Jak drugiemu człowiekowi pozwoli odejść? Jaką wcześniej potrafi dać odpowiedź na pytanie o sens życia? Zaglądam w życiorysy ludzi, których już dawno nie ma. Co po nich zostało?

Obrazy

W malowaniu mam potrzebę intensywności koloru. W teatrze nie. Nie wiem, na czym to polega. Nie mam też potrzeby wprowadzania czerni do obrazów. Nie jest tych obrazów wiele. Maluję je, ofiarowując komuś. Adresując je do kogoś. To jest wielka przyjemność w tych nielicznych dniach, gdy jestem wolny.

One są w gruncie rzeczy o tym samym, co moje spektakle. Inaczej się tego w teatrze dotyka, bo jest tam szansa, której nie daje mi malarstwo. Odczuwam potrzebę wglądu w reakcję widza. Nie wyobrażam też sobie, żeby mój obraz wisiał w muzeum, a ja żeby nie wiedział, co dotknęło tego, co przed nim stoi.

Malarstwo jest dowodem afirmacji życia. Nie ma na moich płótnach dramatu i tragedii. Myślę, że jeżeli próbujemy już te obrazy czytać, to jest w nich tęsknota za błogostanem. Za idyllicznością. Marzę o niej, a rzeczywistość coraz mnie sprowadza na ziemię. Szkoda mi tej idylli, a w życiu bywa tak, że choroba cię dotknie, cierpisz, ktoś odejdzie na zawsze. W zderzeniu tęsknoty za tym stanem, który się w malarstwie spełnia z rzeczywistością – realizuje się teatr. To trudna konfuzja. Bardzo niebezpieczna. Więc przynajmniej w moim malarstwie nie ma potrzeby cierpienia.

Dużo fotografuję. Obiektyw aparatu towarzyszy memu teatrowi. Zapisuje miejsca i pejzaże, które przetwarzam w sobie, z którymi wracam do Lublina. Fotografie dokumentują moje zachwycenia i zamyślenia. Z tych fotografii powstają później kolaże.

Teresa z Avila

Najpierw czytałem jej życiorys. Pelen witalności i potrzeby tworzenia. Pomimo wypalania się, bo przecież śmierć niszczyła ją bardzo wcześnie – miała potrzebę stworzenia nowej struktury zakonu. Cały czas widzę ją na wypalonej ziemi, przez którą zdążyła w upale, aby zakładać kolejne klasztory. Wędruje w trudzie, tak bardzo oddana wierze.

Prześledziłem jej drogi i obszedłem jej los. Byłem w jej klasztorze. Mam jej „ślady” na fotografiach: jej sandał i figurę Chrystusa, który był jej bliski, a którego brat przywiózł jej z Ameryki.

Hiszpania była cudownym gruntem do wyzwalań uczuć. Częstkę tego gruntu znajduję w sobie – to się wiąże i z pejzażem, i z zaufaniem, może czasem i z ekstazą. Oczywiście nie dane nam jest przeżywać tak jak przeżywała św. Teresa. Ale bardzo za tym tęsknię i jak mogę w spektaklach zbliżyć się do tego, co zdarzyło się w sercu Teresy, to tak się dzieje. „Brzeg” i „Wędrownie” są dowodem.

Gdy śledzę style w sztuce światowej, w średniowieczu znajduję możliwość najpełniejszego wyrażania się człowieka. Jeszcze w baroku jest ta cudowność spełnienia. Jakież inne powietrze musiało być w tych czasach. Wisiało w nim „dobre” i skłaniało, żeby się człowiek Bogu umiał powierzyć.



Jan od Krzyża

Św. Teresa i Jan od krzyża – te dwie osoby są we mnie razem. One się na swój sposób miłowały. Przez ideę wspólnej wiary. Byli sobie potrzebni. Bardzo się rozumieli. Jak w napisanej przez Jana „Pieśni duchowej”: Oblubieniec: Gołąbko, lot odmieniaj/ bo oto jeleni ranny/ wychynął za wzniesienia/ w powiewie lotu – szuka orzeźwienia. Oblubienica: Umiłowany, góry/ osamotnionych dolin las daleki, cud natury./ rozbrzmiewające rzeki/ i poszum wiatru miłosnego lekki; Uspokojenie nocy./ gdy się na progu łączy ze świtaniem./ muzyki ton milczący, /donośne ciszy granie./ wieczera, z której siła i kochanie. Smakujmy siebie, Miły./ i chodźmy siebie w twej piękności widzieć/ na szczyt i stok pochyły/ gdzie źródło czyste bije./ postąpmy głębiej droga przez gęstwinię. Tylko tyle. I aż tyle.

Tęgo czasu coraz mniej

Chciałbym się w teatrze coraz mniej mylić. Cierpliwość każe mi wolniej pracować. Nie wiem, może jeszcze dwie, trzy premiery powstaną w tym żywocie.

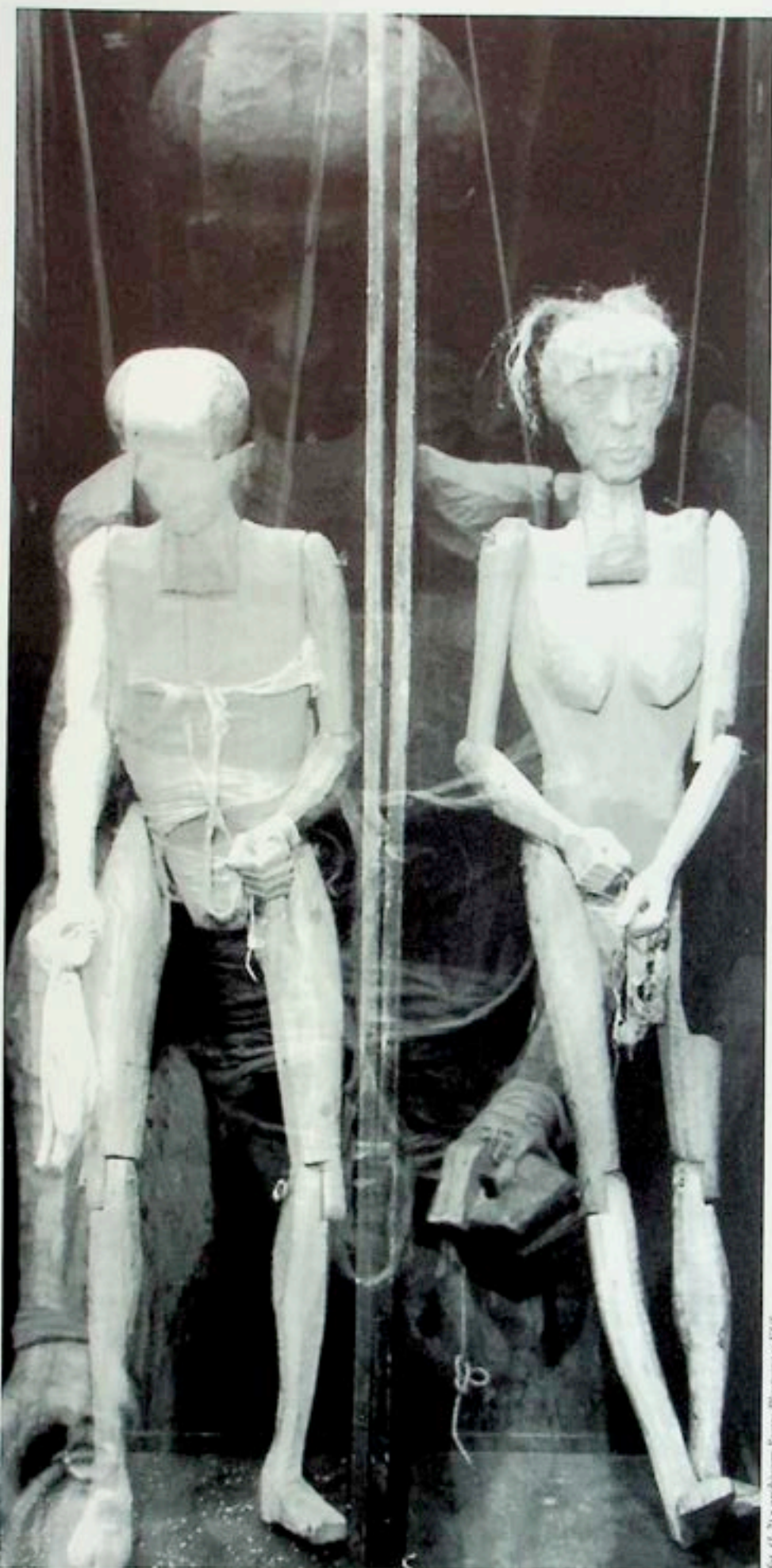
Nie pomyliłem się w kierunku znalezienia języka i formy teatru. Nie dam sobie powiedzieć, że błędę. Mogę być jeszcze bezradny wobec tematu, wobec ekspresji, ale mam swoją drogę. Wydaje mi się, że wyznaczona przez lata pracy jest otwarta. Jak długo jeszcze?

Czasu jest coraz mniej. Coś trzeba z nim zrobić. I z sobą. Nie ma już gotowości, żeby pozostać w rozdarcia. Bardzo tęsknię za równowagą. Choć jej nie mam. Czy zdążę ją odnaleźć?

W sercu św. Teresy, przechowywanym w Alba de Tormes niektórzy badacze dostrzegają ślad rany od spotkania z Jezusem. Nam jest potrzebna taka cudowność. Czekanie na cud. Wyobraźnia tęskni za nierealnością. Myślę, że podążamy dwoma torami na tym padole. Torem rzeczywistości, która jest nieunikniona, i drugim torem, który jest do uniknięcia. Ale może uruchomić go wyobraźnia, fantazja i tęsknota. Te dwa tory w moim życiu się schodzą i są powodem robienia teatru. Myślę, że zawsze zderzenie rzeczywistości ze światem pragnień jest dramatem, bo rzeczywistość nie idzie w parze z cudownością. Dlatego wiara daje taką szansę.

Jeszcze raz dotknijmy czasu, bo jak przywołuję fotografie, które pomagają cofać się, obejrzeć się za siebie, to robi się kłama, która strasznie skraca mi czas. Bardzo ostro widzę pewne przypomnienia, takie jak zapach smoły czy drewna z rodzinnego domu. Za tym zapachem zaraz idą obrazy. Mojego podwórka, studzienki. Mam wrażenie, że obecny czas żywi się tamtym czasem. To życie mi się skraca i dziś staje się wczoraj. Jakże kruchym momentem jest to nasze bytowanie w czasie. Na krótko każe nam zabłysnąć i już powoli gaśnie. Jak ten napis przy trumnie na św. Krzyżu: Kim ty jesteś tym ja byłem/ Kim ja jestem Ty na pewno będziesz...

Wysłuchał Waldemar Sulisz



WSPOMNIENIE KILKA



Wspomnienie pierwsze. Rok 1966. Załapuję się na KUL. Ambicja nie pozwala mi studiować na historii sztuki, bo mój licealny kolega wymyślił ten kierunek pierwszy. Więc ja idę na socjologię (dokładnie: Wydział Filozofii Chrześcijańskiej, sekcja filozofii praktycznej – przyjętych mniej niż na „sztukę”, bo tam 10 osób, a u mnie tylko 5. Cóż z tego – całe życie będę żałował, że nie poszedłem penetrować dziedzinę, która sercu był bliższa. Rekompensata polegała na tym, że zaglądałem na zajęcia „historyków sztucznych”, chodziłem patrzeć jak Antoni Michalak, tą swą wspaniałą sangwiną rysował im dalsze perspektywy, prof. Maśliński zakręcał kaloryfery uważając, że zajęcia odbywają się w zbyt gorącej atmosferze, a ks. prof. Smoleń strofował ich za nieznaną światłocień u Carravaglia. Tu się objawił jako ekstern Leszek. Wyglądał na nieudacznika. Dwa starty, albo trzy na ASP. Desperacja i podjęcie nauki w świętej pamięci (mowa o całościowym systemie) Studium Nauczycielskim, bodajże w Busku, zresztą Zdrój, zresztą w dziedzinie tkaniny i znowu na tyle nieudane podejście do Lublina, że skończyło się na studiach eksternistycznych. Leszek za chwilę bras-lata, kompan najwspanialszy – potrafił z tego swego takiego a nie innego studiowania stworzyć jakoś tyleż odrębną, co dowcipną. Do legendy przeszła rozmowa z kanarem, który złapał go w „dziesiątce”, jeżdżącej wówczas spod biblioteki UMCS na Poczekajkę, czyli do akademików kulowskich dla dziewczyn na Konstantynowie, obok których nasz bohater czujnie znalazł sobie stację. Poczekajkowa sadyba Mądziaka z czasem stała się – i słusznie, i słusznie! – legendą. Stać mnie na tylko kilka odprysków z tamtej epoki:

– Na Krańwickiej był sklep, bodaj GS Samopomoc Chłopska (sic!). Chłopy miejscowe kupowały tam pryty. My też kupowaliśmy owe J-23. (siarkowe wino z Milejowa kosztowało wówczas zaiste 23 zł a w TVP działał

agent Kloss, znany pod wspomnianym kodem), ale ze specjalnym dodatkiem. Słodki napój zagryzało się śledziami solonymi, takimi (pamięta to kto?) prosto z beczki. Czy ktoś może sobie dziś wyobrazić te ruchy antyrobaczkowe miotające młodymi artystami i dziennikarzami in spe!

– Zaistniały się na Poczekajce bankiety niezwykle. Niekiedy bywało, że Leszek obawiał się, iż poniektórzy uczestnicy skończyli w ogrodowej studni. Na szczęście zawsze się znajdowali. Gdzieś pod drzewkami owocowymi.

– Sąsiedzkie akademiki żeński dostały swego czasu zezwolenie na juvenalia, które chyba jeszcze nie nazywały się ani Kullages, ani Kulinarial(?), ani Kulturalia, ale odbywały się pod światłym patronatem ks. rektora Granata. Postanowiliśmy na nich zaistnieć. Rysio (ów mój świdnicki kolega, który ukradł mi pomysł studiów na historii sztuki) został ubrany w trójkołowy, zardzewiały rowerek na plecach, a my z Leszkiem załatwiliśmy u sąsiada, że pożyczymy nam... krowę. Czekając się bał niepomiernie, że zwierzę zauroczymy, mleka dawać nie będzie, i coś było na rzeczy. Muucuczka – bardzo niechętnie – poszła z nami, ciągnięta na postronku i dała popisowy numer. Wyprowadzona na estradkę, na oczach ks. rektora i siostry przełożonej (żeńskim akademikiem zawiadowały zakonnice), postawiła na deskach piękną kupę. Skandal ciągnął się za nami długi czas, ale do dziś możemy mówić, że to my, a nie Jarek Koziara, byliśmy prekursorami lubelskiego happeningu.

– Leszek drogą trudną, bo poprzez zauroczenie pani Byrskiej, twórcy rapsodycznego (zafascynowała się jego wystawą ikon) i został scenografem teatralnym. Jego ikonowa oprawa do „Wandy” Norwida zrobiła taką karierę, że najmocniejszy wówczas twórca studenckiego teatru w Lublinie Andrzej Rozhin (Gong 2), zaprosił go do współpracy i Leszek, chyba w 68 lub 69 roku zrobił scenografię do „Testamentu” Villona. Ja w tym czasie już anna wpłynął

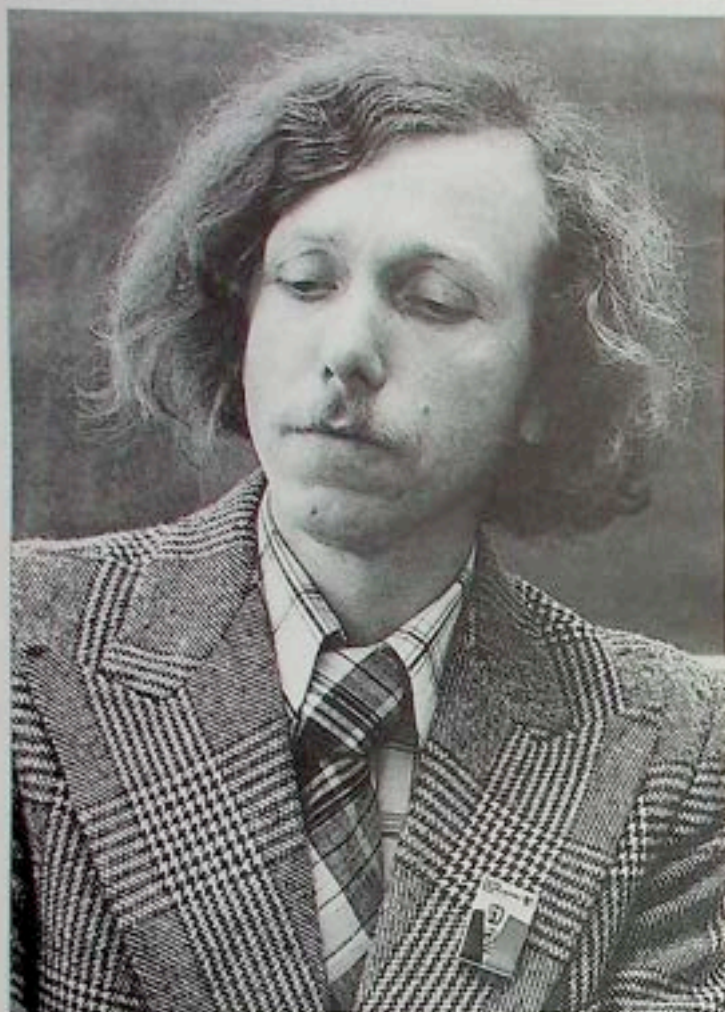


Foto: (1-2) z archiwum rodzinnego Leszka Mądzika

dziennikarzem studencko i jeździłem na rozliczne festiwale. Kiedy znaleźliśmy się razem w 1969 r. we Wrocławiu na Międzynarodowym Festiwalu Festiwali Teatrów Studenckich (za rok nazywał się już lepiej – Festiwal Teatru Otwartego), pomogłem przyjacielowi (to ta jedyna chwila w naszych życiorysach, że miałem większe niż on chody) dostać się na spektakl legendarnego, amerykańskiego Bread & Puppet Theatre. Leszek – długo nie krył tego – chociaż z czasem (wybacz mi, Panie Boże!) zapomniał o tym, że to teatr Schumannna wpłynął tak na jego twórcze myślenie, że zaraz potem powołał do życia Scenę Plastyczną. W roku 1970 świat ujrzał pierwszy autorski spektakl Mądzika „Ecce Homo” Z Ryskiem ze Świdnika woziliśmy makulaturę, żeby lepić w podziemiach KUL maski do spektaklu. Jak dziś widzę je na zdjęciach, wydaje mi się, że widzę tę Trybunę Ludu, która stanowiła doskonały budulec dla klejonego tworzywa.

– Nieskromny komunikat. Jeśli nie liczyć uwielbianego, acz nie mojego (nie byłem polonistą, chociaż wiele osób mnie o to podejrzewa) prof. Stefana „Funia” Sawickiego, jestem jedynym człowiekiem, który widział WSZYSTKIE premiery spektakli Leszka Mądzika w jego Scenie Plastycznej. Mój niepomierny błąd polega na tym, że nie widziałem jego WSZYSTKICH dzieł jakie stworzył. Jedyne usprawiedliwienie: oprócz Niego, naszego jubilata, 60-lata, nie zna ich nikt.

Andrzej Molo Mądzikowy Akolita Molik

SACRUM LESZKA

Będzie to bardzo osobiste. Zdaje się – po prostu – że wiem jakie znaczenie dla Leszka miał fakt powstania tego muzeum. Znamy się od lat bez mała 40 (dokładnie 39) i nie mogę nie pamiętać, jakie znaczenie dla niego mają jego kieleckie korzenie, jak bardzo chciał się temu swojemu miastu w młodości odwdziżyć. Zaglądałem tam z nim, widziałem Dom Praczek jeszcze w stanie ruiny i pamiętam, jak opowiadał mi, że tuż za plecami dzisiejszej, tak bardzo JEGO Galerii Współczesnej Sztuki Sakralnej wciąż otwierają się na świat okna, pod które przybiegał, żeby zobaczyć swego ojca uwięzionego w zamkowych kazamatkach przez system stalinowski. Porozmawiać z nim, chociaż z odległości.



Budynek przed...

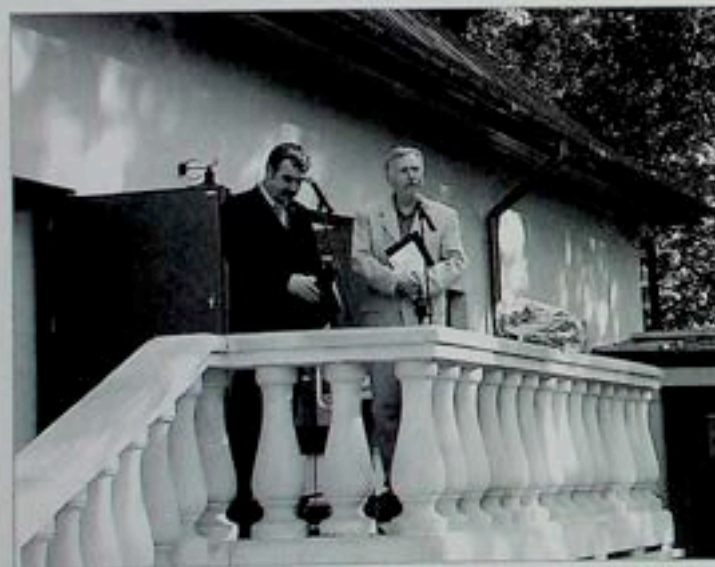


...i po remoncie

Te Kielce w naszych kontaktach objawiały się niekiedy w sposób irracjonalny, somnambuliczny. A to ja tęskniłem za swoją pierwszą miłością, studentką psychologii KUL, córką kościelnego z tamtejszej katedry. A to Leszek mi opowiadał o rezydentach Pałacu Biskupiego, którzy nie mogli się pogodzić z faktem, że zdomowili się w Lublinie i ani myśli reemigrować do Kielc. A on pamiętał. Pamiętał tak, jak się wspomina młodość, swoje źródła, swoje pierwsze porwy artystyczne i marzenia o podboju świata. I wracał.

Jestem szczęśliwy, że byłem kilka razy świadkiem tego. I gdy znowu, w poniedziałkowe popołudnie 30 maja znalazłem się w zaczarowanym kręgu biskupiej kieleckiej dziedziny, w tym przepięknym miejscu, które – przy całej mej miłości do Lublina – tchnie zupełnie odrębną, magiczną atmosferą, poczułem się – przepraszam za śmiałość wyznania – szczęśliwy. Szczęśliwy i tożsamy z Leszkiem. Jako świadek tylko. Ale szczęśliwy, że ta jakaś nasza mała tajemnica stała się wartością strzelającą gdzieś ponad nas. To niezwykle, że w jej kręgu znaleźli się tacy ludzie! Wojciech Skrodzki ze swym pięknym spojrzeniem na sztukę i Teresa Budzisz-Krzyżanowska, ze swą znaczącą

zapominaniem kwestii recytacją i tak cudownym kontynuowaniem Norwidowego „Promethidiona”. Jaga Berczowska, w której nie tylko Leszek się kochał, gdy była z nim na roku studiując historię sztuki i Leszek Cwalina, który swą spokojną ironią potrafi ogarnąć wszechdziedzinę, nie tracąc nic ze swego ciepła. Zastępy biskupów i trochę zagubiony nie w swoich okolicach (wszak to znaczące, że się tam pojawił) Zbyszek Wojciechowski, już nie wiceprezydent, ale wciąż wiceprzewodniczący Rady Miasta, którego nie wszyscy kochają za ułańskie zrywy, ale który potrafi być niezwykle fair wobec artystów, którym ongiś zadeklarował lojalność. Z prostej przyczyny podziwu wobec ich dzieła. Ula Ślusarczyk, Puławianka, której dzieło, – o czym mało kto w Lublinie wie – znalazło się też w kolekcji Mądzikowego muzeum i Franek Maśluszczak, który – nigdy nie kryjąc swych podzamajskich korzeni – karnie dostarczył pracę do kieleckiej kolekcji. Tomek Kawiak, który cierpiał, że nie wiedział o powstawaniu takiej placówki, dlatego z Francji nie przywiózł swej sakralnej (jedynej?) pracy i Agnieszka (niech mi wybaczy, że nie pamiętam jej nazwiska), ta sangwiniaczka spokojnie dozorująca jako kurator kolekcję GWSS (proponuję skrót na miarę MOMA). Małgosia Sady,



Prezydent Kielc Wojciech Lubawski i Leszek Mądzik



Teresa Budzisz-Krzyżanowska



Biskup Marian Florczyk i Leszek Mądzik zapraszają do wnętrza

fot. Leszek Cwałbina



Leszek Mądzik i Zbigniew Wojciechowski

fot. Leszek Cwałbina

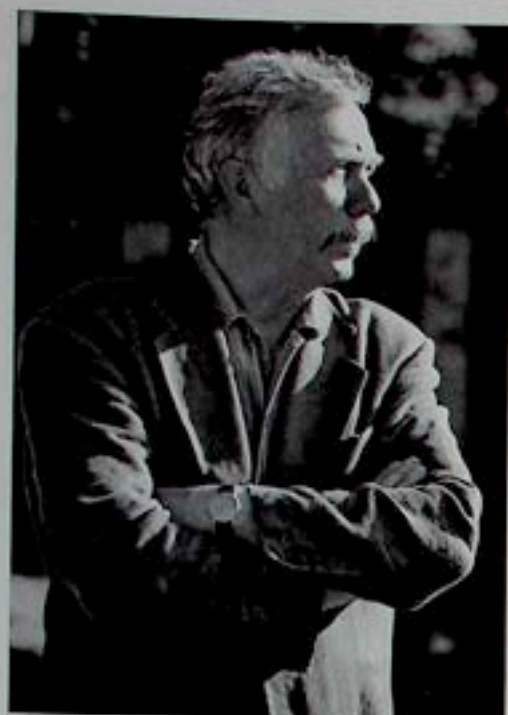


Fragment wystawy

fot. Zbigniew Harbala

Ela Cwałbina, Wicio Dąbrowski i inni lubelscy admiratorzy. Zastępy innych. Jak ta recenzentka Rzeczypospolitej Monika Małkowska, która uszczęśliwiła Mądzika swą relacją na drugi dzień, zaczynając się komplementami z pierwszej strony centralnej gazety. Jestem szczęśliwy – powtórzę i jeszcze raz powtórzę – że byłem z Wami na tej uroczystości. Ze hękaniem haust sacrum zawartego w zgromadzonych w Domu Praczkki dziełach. Tobie, Leszku, osobiwie w ucho(?) to mówię.

Happy Man – Molik



CZAS UCIEKA WIECZNOŚĆ CZEKA

*Wszystkiego się nie da wymienić,
i tak dość dużo pamiętam.
A więc tam jest ulica Mickiewicza.
A tam jest Hoczenka.
A tam za nami jest Skawa.
A tutaj była księgarnia „Foltyna”.
A tam była cukiernia.*

*Po maturze chodziliśmy na kremówki.
Że myśmy to wszystko wytrzymali,
te kremówki po maturze.
A dom był tutaj za moimi plecami
Przez okno widziałem zegar słoneczny i napis:
Czas ucieka wieczność czeka.*

Jan Paweł II, wspomnienie z Wadowic

Rozmowa z Leszkiem Mądzikiem

Mały Karol przez okno widział zegar słoneczny. A mały Leszek co widział?

– Pierwszy pejzaż dotykał lat pięćdziesiątych. Do dziś go mocno przywołuję. Patrzyłem z wysokości okna. Po mojej stronie było ciepło, dom. Po tamtej, jak w kalejdoskopie, bardzo częsty widok wędrowki ciał. Po jednej stronie był szpital i kostnica, po drugiej cmentarz. Trumny, widoczne przez szybę karawanu, wchodziły w ramę okna. Wypełniały mnie i bratu dziecinny pejzaż. Przejazd dębowej bryły trumny, czasami zdobnej, anatomia karawanu, siedzący koniuszy w uniformie – takie mieliśmy widoki. Inni mieli lepsze.

Ostatnie pielgrzymki?

– Orkiestra, czasem jedna osoba za trumną. Czasem pół miasta wyległo. Zostało mi takie wspomnienie, kiedy dwie małe dziewczynki zostały przysypane piachem. Jeszcze w ustach miały wisienki. Niby banał. Ale dramat.

Z czasem śmierć zobaczyłeś z bliska?

– Śmierć babci. Stało się nad trumną w domu. Dzisiaj to już jest nie do pomyślenia. W imię dziwnej higieny, że jak przeczuwamy śmierć, to lepiej niech ten chory będzie w szpitalu. Żeby nie zakłócał pozornej normalności. Dowiedziałem się nawet, że na święta ludzie oddają chorych do szpitala. Starszych do domu opieki. Żeby oszczędzić sobie dramatu. Nie zepsuć sobie świąt.

Wpatrywałeś się w twarz zmarłej?

– Stało się, wpatrywało. Był lęk. Dziś został mi w pamięci obraz kiści bzu koło jej głowy. I dłonie złożone. Z modlitewnikiem i różańcem. Zapach tego bzu. Taki żywy.

Potem była wędrowka na Święty Krzyż?

– Mieszkałem 3 kilometry od klasztoru. Szedłem do kościoła. Odwiecznie udeptaną ścieżką. Z kamiennym mnichem. I legendą, że jak dojdzie na szczyt, będzie koniec świata. Nie zapomnę przyrody. Różne pory dnia. W słońcu, w deszczu, wędrowałem przez paprocie, mchy, zwalone drzewa. W tę i z powrotem. Jako dziecko wielokrotnie sobie to w wyobraźni.

A na górze?

– Wyjście ku światłu. Korciło mnie najbardziej, żeby zobaczyć trumnę Wiśniowieckiego. Z mumią w środku. Pod samą świątynią były groby. Z zewnętrznych lukarni można było zobaczyć zwłoki. Światło obnażało kanty trumien. Korciło mnie, żeby i tam zajrzeć. Skrawki tkanin, twarze, włosy, kości, patyna. Teraz sobie to przetwarzam w teatrze. Filtruję. I czerpię refleksję o upływie czasu. Czerpię niepisany scenariusz do tego, co robię w spektaklach.

Po latach wróciłeś do Kazimierza z grobem Jezusa?

– Tam też przez boczne okienko kościoła św. Anny światło wycina z mroku sylwetki ciał. Wyłapuje czaszki. Byłem na dole.

Fascynuje Cię mijanie czasu?

– To, jak czas odbija się w ciele człowieka. Przychodzimy na świat i od razu czujemy ten chłód. Czujemy, że będzie choroba. Już to ciało jest narażone na śmierć. Od narodzin zaczyna się czas odchodzenia. Póki nas nie ma, nie mamy tego problemu.

Czas ujawnia się przez?

– Korozję. Tak korozja ma swój finał w śmierci. Gdy sobie w ciągu życia nie przeczuwamy śmierci, cierpienia – to jest ciężko. A tak doświadczamy odchodzenia, stajemy na progu z wiarą. Wiare też trzeba w sobie zawczasu konstruować. Chodzi o to, by wiara w sens śmierci nie była tylko wyrazem lęku. Można urodzić w sobie zawierzenie Bogu. I miłość. Przeczuwam wielką wartość tego momentu, który zbliża nas do odejścia.

Po raz pierwszy dojmująco dotknął Cię mijania czasu w spektaklu „Zielnik”?

– Nagle, jak las, rósł ku widzom pejzaż szczątków człowieka. Śladów. Atrap kobiecych ciał. Oni się w tym pejzażu przeglądali. Jakby zaglądali do zielnika z zasuszonymi wspomnieniami.

Dlaczego tak fascynuje Cię tajemnica odchodzenia?

– Nie mam racjonalnej odpowiedzi. To magnes.

Dlatego pojawił się spektakl „Skrzydło anioła”?

– Spektakl o śmierci dziecka. Którą najtrudniej pojąć. Zawsze będę miał w pamięci obraz, kiedy na spektaklu miałem tylko rodziców, którzy stracili dzieci. Z hospicjum Małego Księcia. To było niesamowite. Siedliśmy w milczeniu, w małej salce, przy herbacie. Taki byłem zażenowany. Bałem się fałszu. Po spotkaniu poczułem, że dalej mogę zmagać się z tematem śmierci. Sam się zbliżając wiekiem do kresu czasu. Bo oni mnie nie odrzucili. Otrzymałem życzliwe spojrzenia i łzy w oczach.



Leszek Mądzik w pracowni na „Początek”

Ostani spektakl „Odchodzi”. Czas też jest tu najważniejszy?

– Po raz pierwszy przeczytałem tekst i zobaczyłem obrazy.

Ale to Różewicz?

– Tak. W czytaniu rodził mi się spektakl. Powstawały kadry.

Do tego spektaklu szukałeś aktorki tam, gdzie upływ czasu jest bardzo dojmujący. W domu starców. Jak to było?

– Szukałem kobiety, która zderzyła się z czasem. Ta, którą znalazłem, straciła osoby bliskie. Po doświadczeniu ze „Skrzydłem anioła” chciałem być równie wiarygodny. Chciałem w spektakl wkomponować osobę z autentycznym dramatem w sobie. Żeby mi ludzie na widowni zawierzali.

Jak ją znalazłeś?

– To była trudna, dojmująca i niezręczna penetracja. Szukałem oczu. Zacząłem wędrowkę po domach opieki społecznej. Dyskretnie patrzyłem. Niektóre z tych kobiet drzemały. Spały. Zaglądałem do pokoi. W pewnym momencie zobaczyłem twarz, która była cudowna. Spokój. Nie było krzyku rozpaczony nad tym, co ją spotkało. Zamiast tego zgoda i oswojenie.

Baleś się powiedzieć, o co idzie?

– Bardzo się bałem. Zgodziła się. Potem, w spektaklu, pięknie była obecna w tym, co my czynimy w teatrze. Wtopiła się w spektakl. W jego pierwsze siedem minut. I tak jest, że jeszcze spektakl trwa, a my już odwozimy ją do swojego pokoju.

Zostawmy teatr. Znakiem mijania czasu są relikwie. Byleś u św. Teresy z Avilla?

– Fascynuje mnie od 20 lat. Była mi potrzebna. Ona i Jan od Krzyża. Ich modlitewność, mistycyzm. Zobaczyłem pustą celę. Skromne łóżko. Wiadro na wodę. Jakies ślady, habit, trzewiki. Macałem, dotykałem, fotografowałem. Żywiłem się tym. Tak jest do dziś. Wędruję po klasztorach, gdzie byli oboje.

Rozmawiamy w okrągłą rocznicę?

– Skończyłem 60 lat.

Coraz mniej zostaje Ci czasu. Jak to jest?

– To jest pytanie. Kiedy robiłem pierwszy spektakl w swoim życiu, byłem bardzo młody. I już dotykałem śmierci. Zawsze chciałem być starszy niż byłem. Dziś imponuje mi starość. Smakuję ją w sobie. U kogoś, kto jest starszy. Zawsze intrygowało mnie, jak to się dzieje w twarzy kobiety. Jak to ciało, które najpierw nas zdobywa, uwodzi, kokietuje – się kurczy. I też jest cudownie dalej. Co innego cudownie chce nam opowiedzieć. O sobie, o życiu, o prawdzie.

Ostatni widok. Ciało Ojca Świętego. Bielejąca twarz. Bez śladów cierpienia?

– Wędrowka Jego ciała. Przenoszenie. Cudowne, że jest zachowany rytuał. Kompozycyjnie, kostiumowo, muzycznie byliśmy świadkami pięknego obrzędu. Oczywiście, uczucia o odejściu są silniejsze niż ogląd. Ja byłbym za tym, żeby to trwało jak najdłużej.

Umierał ze spokojną twarzą. W zawierzeniu?

– Ujmowała mnie wiara. Pomyślałem sobie. Mój Boże, żeby za tym nadążyć. Żeby chociaż cząstkę z tego mieć.

Teraz, kiedy go nie ma?

– Czasami trzeba dopiero czyjeś straty, żeby widzieć wielkość, dobroć, miłość. W tej śmierci my się budzimy. Trzeba teraz przeorać glebę swoich uczuć...

Pytał Waldemar Sulisz



Zielnik: To ciało które nas uwodzi ...



Pierwsza Scena Plastyczna

Redakcja wznosi toast za 13. numer GG



Gazeta Grodzka. Okolicznościowa gazeta środowiska artystycznego miasta Lublina i Kazimierza Dolnego. Druk wewnętrzny. Wylawca Drukarnia L-PRINT Zbigniew Lemiech, Lublin, ul. M. Koryznowej 2, tel./fax (0-81) 748-26-85. Redaguje kolegium w składzie: Waldemar Sulisz, Maciej Kaczanowski (fotografia wirtualna), Andrzej Molik, Ewa Szelech. Skład: Kinga Mazur, Łukasz Oleszczuk. Zabawne mixy komputerowe oraz fotografię wirtualną wykonał Zbigniew Lemiech. Za treści ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótu materiałów autorów. Wszelkie podobieństwa bohaterów materiałów do przypadkowych osób fizycznych i prawnych są zupełnie przypadkowe. Za nie nie odpowiadamy, bo nie mamy czym.

Redakcja